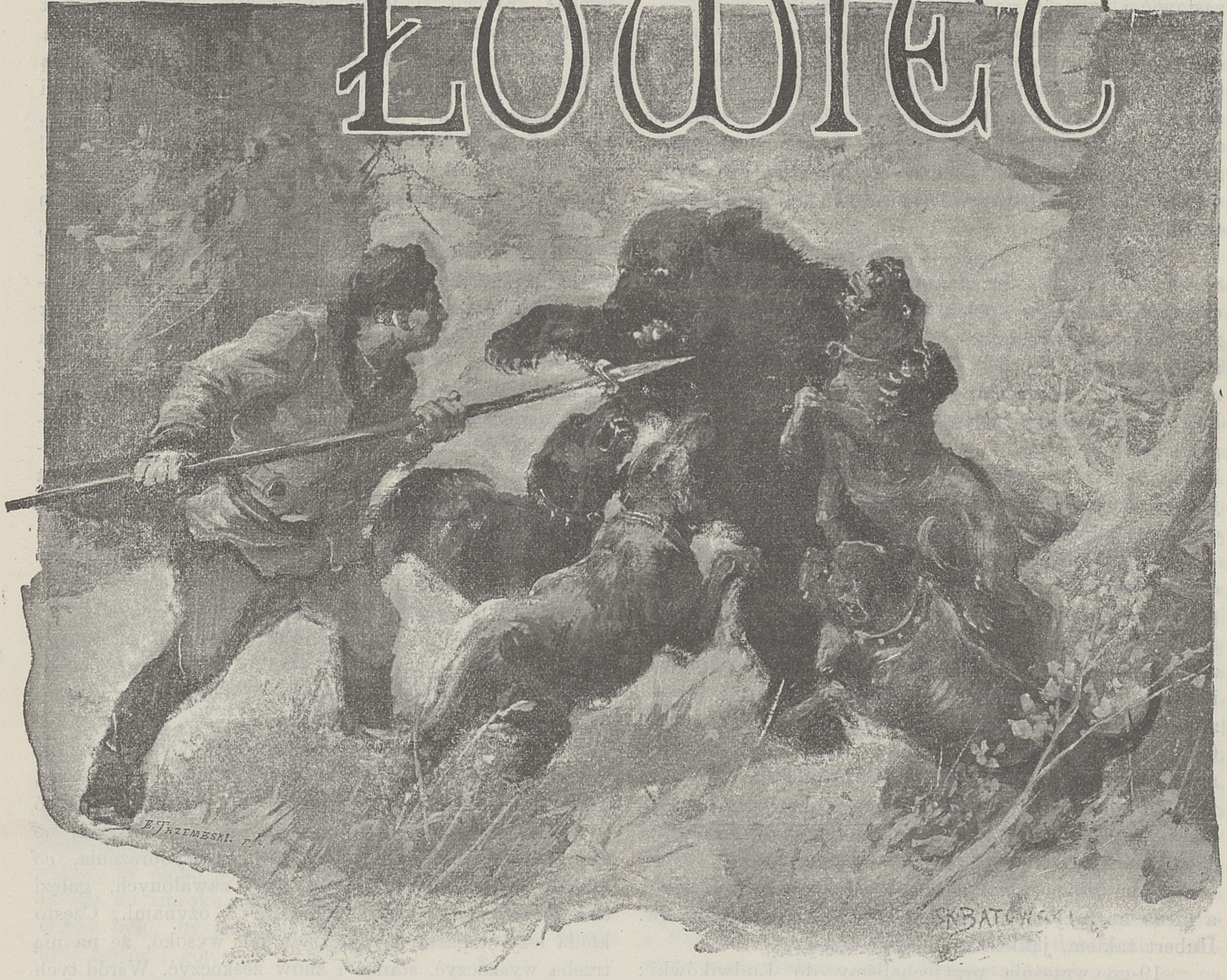
Nr. 22. Lwów, 15. listopada 1902. Rok XXV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 16. każdego miesiąca.

Moje pierwsze dwa jelenie.

W numerze 17. „*Łowca*" z dnia 1-go listopada 1902 jeden z moich towarzyszy myśliwskich, który niestety tak mało ze mną poluje, uczynił mi bardzo słuszny zarzut, że do „*Łowca*" nigdy już nie piszę, choć mi przyznaje z wielką łaskawością, że pióro moje zajmuje czasem czytelników „*Łowca*". Pewnie, że zgrzeszyłem, ale czy w tych ciężkich czasach, w walce o byt, można mieć chwilę swobodną do skreślenia tych wrażeń uroczych, które się odczuwa w obcowaniu z przyrodą i na myśliwskich wyprawach. Myśl ma często na polowaniu już jaki artykulik do „*Łowca*" wysnuła, ale gdy się wróci do domu, do swego ciężkiego warsztatu gospodarskiego, ta myśl zaraz ulata i jałowieje wśród przeciwności, jakie się spotyka w swym ciężkim zawodzie. Piękna myśl, zdarzenie myśliwskie pierzcha pod ciężarem niepowodzeń i przykrości, jakich doznaje ten, który się oddał pracy przy ziemi, którego cel życia, ziemię ukochaną, polską ziemię, jedyną pamiątkę naszej dawnej ojczyzny, Polski, utrzymać w rękach naszych, przekazać dzieciom nienaruszoną i pewną, tak, jak nam ją ojcowie zostawili.

Lecz dziś, kiedy jedno z marzeń życia spełnione, kiedy wspomnienie łowieckiej wycieczki w góry nasze polskie świeżem tętnem bije w mej myśli, wspomnienia tego nie zatrą... już ani niepowodzenia, przykrości i straty, jakie w tym roku gospodarz poniósł, z powodu spóźnionej wiosny, lata i słotnej jesieni, nie zabiją szkody, jakie nam wyrządzili nasi pobratymcy Rusini, którzy od wieków zgodnie na tej samej ziemi żyli i pracowali, namawiając lud cichy i spokojny do bezrobocia, postanawiając nas tym sposobem wyniszczyć i wyrugować z naszej ojcowizny. Podburzali lud wiejski przeciw właścicielom większej posiadłości, aby ci nie mając robotnika miejscowego, musieli zaprzepaścić swe

plony, a nie mając dochodu ze ziemi, ziemię tę musieli zastawić i wynieść się z tej rzekomo ruskiej ziemi.

Jak już wspomniałem, marzeniem życia mego, było położyć wielkiego, górskiego jelenia. Przed laty pięciu byłem na rykowisku w górach wełdzirskich, ale to marzenie rozwiało się zupełnie, bo niepowodzenie mnie ciągle prześladowało. Przez 4 dni nie słyszałem ryku, 5-go podszedłem jelenia, ale byłem tak zemocyowany, że chybiłem go i ta myśl mnie ciągle zatruwała.

Tego roku, towarzyszowi mych licznych łowieckich wycieczek, hr. Janowi Stadnickiemu, zawdzięczam, że w drugiej połowie września pojechałem na rykowiska do Wełdzirza, własności wielkiego przemysłowca, barona Poppera. Temu drogiemu towarzyszowi zawdzięczam, że użyłem szczytu rozkoszy myśliwskich, którym jest prawdziwy ryk jeleni. Nie rykowisko nizinne, gdzie jeleń ryczy tylko w nocy, obawiając się obecności ludzi, lecz rykowisko w górach prawdziwych, gdzie jeleń ryczy od świtu do jedenastej rano, a potem ciągle, od 2-giej popołudniu do nocy.

Marne me pióro, czyż zdoła wyrazić temu przyjacielowi tę podziękę, jaką pragnę mu złożyć; bo przecie mając pozwolenie od właściciela Wełdzirza, mógł sam polować, i nie prosić o pozwolenie przywiezienia mnie, bo przecie myśliwy każdy jest samolubny i zawsze woli nie dzielić się z kimś możliwością zabicia zwierzyny jakiejkolwiek, a cóż dopiero jelenia górskiego. On jednak tego nie uczynił, lecz wziął mnie ze sobą, a jako nagrodę miał tylko mą wdzięczność wyrażoną temi tu słowy. Gdybym był poetą, napisałbym mu odę dziękczynną, ale gdy nim nie jestem pozwól towarzyszu drogi, że to, co tu opiszę, tobie zawdzięczam i niech w każdem słowie, przebrzmiewa wdzięczność dla ciebie, a niech na przyszłość spotkaniem cię wynagrodzi św. Hubert takiem, jakiem mnie w Wełdzirzu!

19-go września przyjechaliśmy do Ludwikówki; jest to osada Niemców, ostatnia przed granicą węgierską. W owej osadzie jest wcale przyzwoita karczma, gdzie można przenocować. Tam poznałem naszych dwóch przewodników, którzy mieli z nami chodzić po górach. Mnie dostał się lepszy przewodnik, Franz, który tylko umiał kląć po rusku, a mówił tylko po niemiecku. Stadnicki wybrał sobie starego Wernera, z którym już cztery jelenie zabił w górach wełdzirskich; niestety Werner zeszedł z pola, bo ogłuchł i zestarzał się, źle chodzi, zapomina o ścieżkach i płajach. Umówiwszy z nimi plan jutrzejszej kampanii, poszliśmy spać, a Stadnicki zdecydował, aby o 2-ej w nocy wyruszyć z Ludwikówki furą i o świcie stanąć pod górą „Tarnicą“, który to rewir nam był przeznaczony. Chcąc opisać wrażenia tej nocy powiem, że prawie nie spałem; ciągle mi szumiał w uszach ryk górskiego króla, który miałem usłyszeć za chwil parę. Wyjazd w nocy z karczmy, nie należy do przyjemności, bo odbywa się trzęsącym wózkiem, po kamienistej drodze wzdłuż koryta rzeki Świecy; czasem jedzie się nad samą przepaścią i wtenczas dech zapierać trzeba, bo się zdaje, że jeżeli koń stąpi krok na lewo, wóz się potoczy w przepaść, a w niej sterczą kolosalne, wystające z wody, głazy piaskowca, którymi jest pokryte dno rzeki. Czasem wysiadamy, bo droga niemożliwa; nasłuchujemy, czy gdzie się nie odezwie król puszczy, lecz nie, prócz szumu rzeki spadającej po głazach piaskowych nic nie słychać. Znowu siadamy na wózek, którego turkot zagłusza nawet szum wody, a jedziemy stępo godzin dwie i więcej nawet. Przewodnicy nasi siedzą z woźnicą na koźle i ciągle szwargoczą po niemiecku, ani chwili nie przestając, choć się widzą codziennie, wzrośli razem, zestarzeli się, o czem mogą mówić, doprawdy ciekawe! ale turkot wózka i szum wody zagłusza wszystko. Z ciekawością przyglądamy się górom wyrastającym z ciemności, wyglądają jeszcze większe wśród nocy, tam Kruchla się wznosi okrągła, gdzie przed laty chybiłem jelenia, przykre wspomnienie, dalej Dołżka mniejsza, wygląda przy niej jak pagórek. Przejeżdżamy obok Gargulą ta, którego nagie bezleśne stoki wznoszą się ku niebu i świecą kamieniami. Na lewo Pustoszak, sławny z toków na głuszca, również na górze bezleśną połoniną zakończony, obok góra Prawicz, sąsiadująca z Girganem, za którym już piętrzy się Tarnica; obie rozdzielone rzeką Prawiczą. Na obu mamy polować, więc już prawie u celu jesteśmy, myślimy — o nie, bo na Tarnicę z drugiej strony wchodzić musimy, gdzie wstęp łatwiejszy, tamtędy mniej złomów i wywrotów. Więc jedziemy dalej, nareszcie, po 3 godzinach jazdy, o samym brzasku złazimy z wózka. Tam mamy się rozdzielić, by o południu zejść się przy kolibie, która stoi na samym szczycie góry Tarnicy, w środku trzech grzbietów, które się w tym miejscu schodzą. Stadnicki z Wernerem miał pójść lewym grzbietem Tarnicy, zwanej Wielkim Lisakiem, ja zaś z Franzem środkowym wierchem Tarnicy, ponad potokiem Perebyte. Tu się rozdzielamy, zaczyna się mozolna praca płuc i nóg pod górę. I ciężko tu wstępować, póki się na grzbiet sam nie dostanie, bo kto nie był w Wełdzirzu, ten nie ma wyobrażenia, co to jest wejść na górę wśród kłód zawalonych, gałęzi sterczących, porośniętych malinami i ożynami. Często kłoda leży wsparta na gałęziach tak wysoko, że na nią trzeba wyskoczyć, stanąć i znów zeskoczyć. Wśród tych karkołomnych skoków trzeba uważać, aby gałęzi nie zaczepić i nie rozedrzeć ubrania, znów aby nie skoczyć na gałąź suchą, którab y trzasła i wszystko spłoszyła, co może być w okolicy — a trzeba wiedzieć, że echo górskie rozległe bardzo, więc niesie postrach daleko grzbietem i płoszy wszystko, na całą okoliczną przestrzeń. Czasem po jednej kłodzie, jak ryś iść trzeba kilka sążni, aby obejść inne leżące na poprzek niej i znowu dostać się na drugą i trzecią. Trzeba przeskoczyć, inną obejść jakąś gałąź cichutko, lub popod kłodę na czworakach przeleść. Z lasów wełdzirskich wywożą ledwie pół drzewa, a reszta gnije, bo jej ściągnąć nie mogą, a wywożą tylko pień 6—8 metrów, a reszta zostaje.

O! rykowisko w Wełdzirzu, to nie rykowisko w Perehińsku, gdzie są porobione Pürschstegi (ścieżki), lub jak w Niebyłowie, gdzie jednej gałęzi nie ma na ścieszce i cicho można podejść jelenia po trawniku, jak na gazonie.

W Wełdzirzu podejście jelenia dowodzi tylko szalonego zdrcwia, doskonałych płuc, wielkiej przezorności i sprytu myśliwskiego, ale nawet dla myśliwego posiadającego to wszystko, jeszcze zabicie jelenia w Wełdzirzu jest wyjątkowym przypadkiem z powodu niemożliwego terenu do podchodzenia, bez jakichkolwiek ścieżek, wśród złomów i maliniaków i bez znajomości personalu myśliwskiego. Utrudnia sprawę zawsze fałszywy wiatr, który jest dobrym,

gdy się zaczyna podchodzić jelenia z góry, a zawsze w potoku, czyli jarze jest inny, wiatr zły. Sam sprawdziłem, że na górze mamy, dajmy na to, wiatr wschodnio-południowy, a w jarze zupełnie przeciwny. Tej przeciwności nigdy nie zauważyłem na niższych górach, tem mniej w Niebyłowie, gdzie przez parę lat podchodziłem jelenia. Zawsze mi na myśl przychodzi, jak jeden z najmilszych moich towarzyszy, który w przeszłym roku zabił w Wełdzirzu 4 jelenie na górze Ilmie, może chodzić w górach wełdzirskich, kiedy ze mną ustaje na kuropatwich polowaniach, nie dotrzymując mi placu, a nawet na polowaniach z nagonką nie może mi nadążyć. Tłómaczę to sobie w ten sposób, że mu zarząd dóbr w Wełdzirzu musiał przez protekcyę porobić ścieżki, bo ręczę, że na Tarnicy i Girganie nie zrobiłby kroku. Że ja chodzę, to nic dziwnego, bom młodszy, niż lata, które noszę, ale imponuje mi wytrzymałość, giętkość hr. Stadnickiego, który przy 60 latach swoich, chodził wszędzie, a nawet był na szczycie Girgana, na który ja nie poszedłem z powodu, że nań się idzie po olbrzymich głazach omszonych, śliskich, 1580 metrów w górę, a idzie się po nich po omacku, bo głazy są obrośnięte mchem, tak na powierzchni, jak i na szczelinach, między kamieniami. Można więc łatwo, stanąwszy między głazami, wyłamać lub wytknąć nogę, która zapada powyżej kolana. Widać, że tacy ludzie się dawniej rodzili i takich dzielnych pierwsza połowa wieku wydała, wątpię jednak, by kto z nas młodszych w tym wieku, co hr. Stadnicki to wytrzymał, co on lekko bez zmęczenia przez tydzień wytrzymywał, śpiąc tylko pod kocem w kolibie przy mrozie 6-cio stopniowym, który nam przez 4 dni dokuczał. To utrudniało łowy, bo gdy zimno, jelenie ryczą tylko w parowach, a w nie zejść można tylko z góry, bo pod górę ani tchu nie stanie, by cicho podejść jelenia. Skutkiem tego od południa do zmroku, często z połoniny w potok schodzić trzeba było, by przyjść tam, gdzie głosił swe pienia król borów i gór.

Tak drapaliśmy się z Franzem na grzbiet Tarnicy od 4-tej rano do 6-ej, a stanąwszy na szczycie, zaczęliśmy słuchać, czy się nie odezwie w pobliżu ten ryk ulubiony. Tak wsłuchany w przestrzeń stałem, gdy zdala, na pobliskiej górze Menczul ryczał prastary jeleń, bo go o milę pewnie słychać było, lecz to nie nasz rewir, a u nas cicho. Dzień zapowiada się chłodny, wilgotny, a pogodny. Zapatrzony w dal z góry Tarnicy, widzę cały łańcuch Tarnicy o trzech grzbietach i z za grzbietu wschodniego już jutrzenka czerwienieje, obłoczki mienią się z czerwonawej w błękitno - fioletową barwę, za chwilę tryśnie słońce, rozbijając swe promienie o tysiące kropel rosy, mieniących się jak tęcza siedmioraką barwą. W dole zrąb, rzadką jedliną i świerczyną zarosły, potok, w którym błękitne, tysiączne leżą martwe kłody, wyciągające, jak w rozpaczy ramiona, swe nagie gałęzie w górę; gdzieniegdzie trawy suche wysokie, tam znów zarośla maliniaków i ożyn. W górze zaś jeszcze niedorąbane, czarne, mchem wiszącym obrosłe jodły i świerki, a wyżej kosodrzewina kręta, jakby zrąbane gałęzie, a jeszcze wyżej połonina pod górą Jajkiem, najwyższą górą w Wełdzirzu, trawą zieloną okryta, na koniec widać głazy na Jajku, żółte, fioletowe, czarne, już pod same niebo sięgające, a jeszcze dalej, ku wschodowi, górę Girgan i cały łańcuch perehińskich gór, czarny od niewyrąbanego lasu do połowy swojej, a dalej zielony od połonin, wreszcie żółty, czerwony i czarny od wierchów kamienistych. I stałem tak zapatrzony w to wschodzące słońce, które nigdzie nie świeci tak jasno, jak w górach, wciągając to powietrze czyste bez bakteryi, a tak balsamiczne, że się tam czuje, że to jest powietrze prawdziwe, niczem niezmącone, lazurowe i przeźrocze, że tam tylko płuca oddychać mogą, że tam nigdy nic zaszkodzić nie może, że tu żyć można tysiące lat, bo tu oddycha się czemś innem, niż na zwykłej ziemi. Lecz nic się nie odzywa i cicho wszędzie, czasem poświerka zakwili, lub kos białoobrożny w malinach zatrzeszczy. Już słońce zeszło, roztaczając swe miłe ciepło na całą roślinność, kąpiąc swe promienie we wszystkiem, co noc oziębiła, rozgrzewając każdą roślinkę, każdą gałązkę. Zmrożone członki wystawiałem na to ciepło słońca, które było tak potrzebne po nieprzespanej nocy, gdy wtem, w potoku dalszym Perebytego ryknął głucho jeleń, zaraz mu drugi odpowiedział na drugim grzbiecie Tarnicy, pod Uherną, trzeci na Lisaku, a czwarty gdzieś daleko na Menczulu, i grał cały las rozmaitymi tony; to muzyka najwspanialsza, to cały koncert. Niestety wszystkie ryczały daleko; dwa na Beskidzie, gdzie już nam podchodzić nie wolno, dwa w rewirze hr. Stadnickiego, od których nas rozdzielał potok Wielkiego Lisaka, więc o podchodzeniu mowy nie było, gdyż aby zleść w potok ten, trzeba kilka godzin czasu, zresztą trudno mu przeszkadzać w podchodzeniu. A na naszym stoku nic nie ryczy. Fatalność! lecz może się później odmieni. Idziemy więc dalej, grzbietem środkowym Tarnicy, przystając co chwila, pnąc się coraz wyżej, by dojść na szczyt góry, tam może coś zaryczy, lecz nie! Wtem przedemną idący Franz, pada na ziemię, przeczuwając, że coś idzie, czynię to samo, patrzę w kierunku jego ręki, i widzę widłaka jelenia — zdaje się olbrzym, bo to dwulatek górski, nie z Podkarpacia jeleń nizinny! Widzę dokładnie rozłożyste rogi, grubsze, niż u dwunastaka nizinnego, lecz na końcu korony nie ma nic, widocznie młodzian jeleniego rodu, to nie dla mnie zwierz, jam nie przyjechał tu po to i czekam, może za nim coś więcej idzie. I widłak patrzył w naszą stronę i miernym krokiem ruszył ku Lisakowi, tam gdzie najsilniej ryczały jelenie. I nic więcej nie widać. Poszliśmy znów w górę, skacząc jak rysie po kłodach, to popod nie przełażąc, to pnąc się pod górę po kamieniach, o które nie trzeba potrącać, by się pod nogą nie ruszyły i nie poleciały w przepaść z ogromnym łoskotem.

Na samym szczycie naszego wierchu, przystanęliśmy znowu, przeglądając okolicę. Tam, wśród traw zeschłych, żerują jelenie na stoku, dwie łanie spokojnie się pasą; co urwie trawę, co krok postąpi, uważnie śledzi, czy niebezpieczeństwo nie grozi jakie, sama przeskoczyła przez kłodę, złamała gałąź, przestraszona ucieka, cienia swego się boi, taka lękliwa. Przystanie na chwilę, strzyże uszami, słucha i wietrzy, przekonywa się, że to sama trzasła gałęzią i znowu się pasie, lecz taka spokojna, nie patrzy się nawet na drugą stronę potoka, gdzie ryczy jeleń jeden i drugi. Wygląda to zupełnie, że to inne zwierzę lub, że to jeszcze nie czas łączyć się z tym, co swym głosem potężnym wzywa rywala i swą małżonkę. Tak jest w istocie w górach prawdziwych, jeleń ryczy tylko, gdy nie ma jeszcze łani koło

siebie i ryczy w ten czas dzień cały, a gdy już łanię zwabił do siebie, przestaje ryczyć i tylko ryczy, gdy się drugi zbliża.

Gdyśmy się dosyć tym łaniom napatrzyli i gdyśmy się przekonali, że jelenia nie ma koło nich, podążyliśmy szybkimi krokami do koliby — była godzina 11-ta, gdyśmy zeszli nieco w dolinę. Ukazała się koliba, lecz koło niej pusto i dym się nie snuje do góry i ognia nie ma. Ludzie nasi, strzelcy i pomocnicy nam dodani do rąbania drzewa, noszenia wody i t. p. posług jeszcze z Ludwikówki nie przybyli. Smutno więc, mała szansa obiadu, bo Michał, strzelec mój, który tu na Tarnicy spełniać miał funkcye kucharza, jeszcze nie przybył. Zawsze mi przypomina w górach, że chybił swego powołania i zamiast zostać kucharzem, jest strzelcem, choć jedno i drugie spełnia wyśmienicie od lat dwudziestu. Lecz nie długo czekałem w dolinie między trzema grzbietami, gdzie była śliczna połonina, trawą obfitą porosła, śliczne miejsce w pogodę i ciepło, okropne w zimno i wiatr, bo z wszystkich stron dmie wiatr niemiłosiernie, że się utrzymać trudno. Wkrótce słychać było głosy idących, przybyli wreszcie i zaraz zaczęli się krzątać koło ognia i nim Stadnicki przybył, obiad był gotów, wspaniały jak na rykowisko, bo bulion kaszką zasypany, kurczę z rożna i kiełbasa smażona.

Wszystko w górach smakuje, bo to górskie powietrze tak głodzi, żeby się zjadło wszystko, co podadzą, czy dobre czy złe, wszystko jest dobre. Stadnicki również wrócił bez strzału, podchodził jelenia na Lisaku małym, widział go na oko, lecz jeleń umilkł i uszedł cichaczem — w gąszcze. Po obiedzie drzemka, a o 2-ej mieliśmy znowu wyjść z koliby. Stadnicki ma pójść za swym jeleniem na mały Lisak, zachodni szczyt Tarnicy, ja zaś uprosiłem sobie, aby pójść dalej na Wielki Lisak, tam, gdzie rano słyszałem dwa jelenie ryczące, na przeciwnej górze, gdzie się pasły te, niewzruszone na jeleni ryk, łanie.

Wyszedłem więc z Franzem przed 1-szą i poszedłem zachodnim grzbietem Tarnicy ku Wielkiemu Lisakowi. Na najwyższym szczycie, wśród starodrzewia jest łączka, bujną trawą zarosła, tam wychodząc na sam szczyt, zobaczyliśmy dwie łanie pasące się. Jedna szczególnie wydawała mi się olbrzymem, o ogromnych uszach na dół spadających, wydawało mi się, że to osioł olbrzymi. Pasły się spokojnie, w naszą stronę zdążając. Przyklękliśmy do ziemi i leżąc tak z pół godziny, widzimy, że łanie się ciągle do nas zbliżają. Wtem odezwał się bardzo blisko lekki ryk, prędzej ziewnięcie jelenia ze snu południowego budzącego się, potem drugie i trzecie ziewnięcie. O nieszczęście, jeleń leży od nas o dwieście może kroków, a łanie ciągle się zbliżaja ku nam, muszą nas zwietrzyć lub na nas wleść. Leżymy więc cicho w trawie, nareszcie przychodzi łania na 10 kroków od nas, zobaczyła nas, skoczyła i po dwakroć wydała bek, podobny do tarcia żelaza o kamień. Zaczęła wietrzyć, skoczyła kilkanaście kroków i znowu bekła i wolno poszła z drugą w gąszcze. I w tej samej chwili, widziałem wstającego z trawy, z legowiska jelenia, który wolnym krokiem za niemi w świerkową gąszcz podążył. Był o jasnej sierci i dziwnie miał grube i jasne bardzo rozłożyste rogi, był bardzo duży, lecz mniejszy od łani pierwszej. Zdaje się, że nie był starszy, niż dziesiątak, gdyż na górze rogów miał tylko dwie odnogi, która mi tak grubością, jak wielką rozpiętością zaimponowały. Niestety, łania go nam spłoszyła i więcej się nam nie odezwał. Poszliśmy więc dalej coraz niżej, ale nigdzie nic nie ryczało, tylko w potoku samym, ryczał jeleń, dość cicho, ale że dołem miał iść Stadnicki, nie poszedłem ku niemu, lecz dalej szczytem. Ku końcowi samego szczytu usiadłem na kłodzie i długo bardzo siedziałem — już czwarta godzina była, gdyśmy wstali i spuszczając się ku dołowi, usłyszeliśmy słaby ryk jelenia na przeciwnym skłonie ku Menczulowi. Nie mając innej szansy, poszliśmy nieco w dół, wielkim gąszczem młodego lasu, a jeleń odzywał się słabo od czasu do czasu i dziwnie słabym głosem. Nawet Franz nie miał ochoty iść za nim, bo mi ciągle mówił: „Das ist ein schwacher Hirsch“. Lecz coś mię ciągnęło do niego i poszliśmy. Doszedłszy do połowy skłonu, jeleń znowu się odezwał, słabym głosem raz, potem w kilka minut po raz drugi; zeszliśmy znowu i stanęliśmy. Franz wylazł na wysoki pień i wpatrywał się w dół. Wtem jeleń znów się odezwał, już bardzo blisko, a za drugim razem gdy zaryczał, szepnął mi Franz, że go widzi. Jeleń leży pod brzozą i gdy ryczy widać mu koniec pyska i rogów, ale go podchodzić nie można, bo w gąszczu go nie będzie widać. Wpatrując się w miejsce, gdzie mi ręką wskazywał, zobaczyłem podczas ryku podniesiony i otwierający się pysk i ruszające się końce rogów. Dziwne na mnie zrobił wrażenie ten ryk tego jelenia; był dziwnie niedonośny i chrapliwy, choć nie byłem od jelenia, dalej jak 150 kroków. Chciałem podchodzić go bliżej, ale Franz słusznie mówił, że go spłoszymy, a on pewnie wkrótce wstanie i będziemy do dobrze widzieli, co to za jeleń i czy go warto strzelać; Franz ciągle jednak utrzymywał, że to słaby jeleń. Trwało to wszystko dobre pół godziny, ryczał od czasu do czasu, ale po jednym ryku znowu ustawał. Nareszcie wstał i zaczał całą siłą walić rogami o brzozę, pod którą leżał, tak, że cała się do ziemi skłaniała. Potem się uspokoił i pokazał nam głowę i szyję z poza gąszczy świerkowych. Wtem Franz z cicha zawołał: „o co za prześliczne i ogromne rogi, on się lepiej wysunie na lewą stronę i wtenczas będzie można strzelić, choć to bardzo daleko“. Jeleń zaś stoi ciągle i więcej się nie wysuwa; trwało to znowu z pięć minut, nareszcie ryknął i o nieszczęście! schował się znowu w gąszcz. Widząc, że jeleń się schował, skoczyłem na prawą stronę, ze sześć kroków i spostrzegam jelenia po drugiej stronie w tej samej pozycyi na połeć, widzę zeń tylko głowę i szyję. Już jeleniowi coś się nie podobało, zdaje się, że musiałem w skoku gałązkę utrącić, bo ciągle w naszą stronę patrzy. Widzę, że jeleń kolosalnych rozmiarów, a rogi bardzo grube, choć ma odnóg mało na górze. (C. d. n).

Aleksander hr. Wodzicki.

Polowanie na łosie.

„Gdym na Litwę przyjechał, dziwne jakieś głosy
Witały mnie. Te pola i łąki i lasy,
Te wody i przestrzenie, okiem nie objęte,
Szeptały mi do serca słowa jakieś święte,
O ojczyźnie, o Polsce, o ziemi, miłości“...

Idąc za głosem naszego wicepresesa, hr. J. Al. Bielskiego, który w tak prostych, a życzliwych słowach starał się zachęcić drużynę myśliwską, aby podawała w *„Łowcu“* opisy wrażeń swych z polowań, dodaję do innych tę moją cegiełkę i Jemu niniejszą pracę poświęcam. A jeżeli nie wypadnie ona świetnie, niechże łaskawy Wiceprezes odpowiedzialność za to na siebie przyjąć raczy.

Zaproszony przez mego przyjaciela, p. Henryka Skirmuntta, na rykowisko łosi, oczekiwałem z upragnieniem tego czasu i prosiłem Boga, aby mi, jak to mówią, „nic w drogę nie wlazło“ w użyciu tej rzadkiej przyjemności.

Niestety obowiązki nie pozwoliły mi dość wcześnie wyjechać.

Koło 10-go września bowiem rykowisko się rozpoczyna — więc wcześniej trochę od jeleni — a ja ledwie 26-go mogłem się w podróż wybrać.

Już naprzód czyniłem starania o pozwolenie przewozu własnej broni przez granicę rosyjską, ale źle poinformowany, udałem się z prośbą nie do właściwego gubernatora i pozwolenia nie dostałem. Dla innych towarzyszy niech służy ta wskazówka, że tylko ten gubernator ma prawo dawać pozwolenie na przewóz broni, do którego okręgu ta komora należy, przez którą się przejeżdża. Z żalem więc wielkim, musiałem mój sztuciec na komorze w Radziwiłowie zostawić.

Szmat ziemi przejechałem z Zaleszczyckiego aż za Pińsk, nim do Mołodowa dobiłem. Mnóstwo krajobrazów przewinęło mi się przed oczami. Sama Pińszczyzna, chociaż ze względu na swe płaskie położenie trochę smutne wrażenie robi, poprzecinana gęstemi wstęgami wód, obramowana ogromnymi lasami, staje się dla jadącego sympatyczna, a myśliwy zadaje sobie ciagle pytanie, co w tych borach siedzi? jaki zwierz je zamieszkuje?

W niedzielę, 28-go wieczór, dojeżdżając już końmi do Mołodowa, powitany zostałem krzykiem tysięcy żórawi, które na nocny spoczynek obszerne łąki po obu stronach drogi obsiadły. Poza ogromną wsią, w cieniu starych lip, dębów i jasionów, rozsiadł się piękny dwór mołodowski w stylu Ludwika XVI., zdobny wieloma gankami na słupach kamiennych, i wyciąga w stronę wjazdowej alei, jakby dwie ręce ku przyjęciu gości, dwie białe oficyny. W świetle księżyca przybierają dwór i oficyny imponujące rozmiary. Na głośny turkot powozu po bruku podjazdowym wychodzą mili gospodarze i służba, a gość po długiej podróży oddaje się z radością pod życzliwą opiekę gospodyni domu.

Inaczej wyobrażałem sobie lasy litewskie. Spodziewałem się zastać trochę z dziewiczych borów Sienkiewicza, coś z mateczników, coś z uroczysk dawnych ludzi i bogów. Tymczasem tylko niektóre nazwy się utrzymały, któremi poszczególne rewiry są oznaczone. Nazwy jak „Snowidów, Pański Dąb, Wysoka Łada“, wskazują na dawne uroczyska lub miejsca zebrań, inne jak „Bachnowce, Dubowiec“, oznaczają może więcej rodzaj lasu. Lasy przeważnie sosnowe i brzozowe — utrzymane we wzorowym porządku — stoją w mniejszej części na gruntach suchych, w większej połowie na bagniskach. Na miejscach suchych porost drzew jest całkiem ładny i dobry, na bagnistych więcej karłowaty. Takich jednak gonnych sosen lub jodeł, jak na naszem Podkarpaciu, naprózno szukałby w litewskich borach. Lasy poprzecinane przeważnie mokremi łąkami, o ogromnych obszarach, to znowu strugami, gęsto zarośniętemi łozą i trzciną, gdzie trudno do dna się dostać.

To są ulubione postoje łosi. Tam one są bezpieczne przed okiem strzelca, tam mają dostateczną ilość pożywienia, składającego się głównie z młodych pędów łoziny. W zimie tylko, gdy strugi pozamarzają, wychodzą łosie na wysoki las, lub w gęste młodniaki sosnowe i wtenczas żywią się sosnowemi gałązkami. Widzi się też mnóstwo pociętych młodych drzew, które marnie żywot wiodą.

Pod kierunkiem mego przyjaciela, przy pomocy doskonale wytresowanej służby leśnej, rozpocząłem zaraz poszukiwania za łosiami. Leśni ubrani w czapki z odznakami, uzbrojeni w małe rewolwery i ostro okute laski, ustawieni rzędem, po wojskowemu witają swego pana i każdy zdaje raport ze swego rewiru. Znać w nich karność, a z oczu życzliwość patrzy. Niepytany żaden słówkiem się nie odezwie, a jak mówi, mówi jasno i zwięźle.

Św. Hubert nie szczęścił mi z początku. Byki, już po rykowisku, zaszywały się w gęste strugi, szukając odpoczyku. Czujne na najlżejszy szmer, zmieniały postoje i nie trafiło mi się zastać w tem miejscu łosia, gdzie był widziany przez leśnego rano, lub dnia poprzedniego. Dopiero na trzeci dzień, wracając po bezowocnej wyprawie do domu, spostrzegłem stojącego łosia z brzegu gęstego brzeźniaka. Ze sztućcem w ręku podszedłem go blisko, bo może na 60 kroków. Widząc mnie stał dziwnie spokojnie. Był to szpiczak, nie nadający się do strzału. Ale przedstawiał się imponująco. Wielkości średniego konia, maści ciemno brązowej, pod brzuchem jaśniejszy, postawiony na długich jasno popielatych badylach. Rogi pojedyncze zwrócone naprzód, jak u wołu, ogromne słuchy, górna warga obwisła, nadaje łbu, większemu niż u konia, brzydki wyraz. Nad przedniemi łopatkami duży garb, czyni go bardzo wysokim. Stał tak dobrą chwilę, dopiero przy zbliżeniu się mego towarzysza, zadarłszy głowę w górę, ruszył kłusem z miejsca, robiąc sążniste kroki. W tej chwili był wspaniały, a takiego kłusa, chyba tylko u łosia widzieć można.

Na drugi dzień w rewirze „Dubowcu“ nie mogąc podejść stojących łosi, o których świadczyły liczne tropy, braliśmy z nagonką pojedyncze strugi. Trudna to jest rzecz nagonka na jednego strzelca. To też w pierwszym miocie 3 sztuki poszły bokami. W drugim, siedząc na kępie drzewnej wśród bagna, usłyszałem z lewej strony silny łomot i ujrzałem idącą kłusem łoszę (klempę) z cielęciem. Czując mnie stanęła na 20 kroków, a widząc nieruchomego, sądziła może, że to dziwny jakiś pień i przyglądała się ciekawie. Ciele jasno popielate, wielkości dobrego osła, bardzo było zabawne

imitując matkę w najmniejszych ruchach. Ruszyły dalej krokiem, a ja podziwiałem lekkość ruchów i łatwość, z jaką przez głębokie bagna przechodzą. Pomagają im w tem długie racice, których palce szeroko się rozchodzą i miękkie pęciny uginają się, dając w ten sposób szerszą podstawę ciężkiemu korpusowi.

W miocie trzecim, ustawiony przez leśniczego za krzakiem, opodal strugi, cicho czekałem spotkania. Nagonka ruszyła. Wtem na odległość 150 kroków, ponad gęstemi trzcinami mignęły mi się dwie ogromne szufle, z wieloma końcami. To stary samiec, którego już podchodziłem, widziany przez leśnego Korzenieckiego z rewirze „Bachnowce“, mający z jednej strony 10, w drugiej 9 pasemek. (Pasemkami nazywają końce szufli, oznaczające wiek, jak u jelenia). Serce biło mi jak młotem. Nie słysząc żadnego szelestu, byłem pewny, że stoi, więc sam podsunąłem się o jakich 15 kroków nad brzeg strugi, aby mieć dobry wystrzał. Przy zbliżeniu się nagonki, myślałem że ruszy, raptem słyszę strzał przed sobą. — „To tylko może być leśniczy, który przeszedł strugę na drugą stronę“. Za chwilę sam mi to wytłómaczył. Strzelił, chcąc zawrócić starego byka, który cichaczem wyniósł się z lasu i przez bardzo głęboką łąkę i kanał przeszedł napowrót w „Bachnowce“.

Byłem zrozpaczony, ale spodziewając się, że dezerter stanie w jednej ze strug na „Bachnowcach“, postanowiłem iść za nim. Po krótkiem śniadaniu, wziąwszy leśnego Korzenieckiego na przewodnika, ruszyłem przez łąkę. Z wierzchu, gruby kożuch traw i mchów, okrywa bezdenną topiel. Każdy krok trzeba kijem sondować, nim nogę się postawi, aby się nie zapaść w błoto po pas, lub wyżej. Przy tej okazyi moje buty gumowe oddały mi nadzwyczajne usługi. (Krimmer, Lwów). Mając wody nieraz po kolana, dotarłem do kanału, szerokiego na 4 sążnie. „Przez kanał jest kładka“ twierdzi Korzeniecki — ale jaka! cieniutka osika rzucona przez wodę, słabo oparta na obu brzegach, a woda na sążeń głęboka. Przed żydami morze się rozstąpiło, ale katolikowi to się nie trafi! nawet w kanale może się skąpać. Szczęściem obyło się bez tego. Opierając sie na żerdzi, bokiem przesuwałem się po uginającej się osice, mając w środku wody po kolana. Z drugiej strony jeszcze ze 300 kroków moczaru, potem sucho. Trzech kwadransów potrzebowałem, aby przejść to „Morze czerwone“, jak nazwałem te łąkę.

Niestety wszystkie trudy daremne. Przetrzęśliśmy cztery strugi, nie znalazłszy łosia. Korzeniecki tylko na stado dzików natrafił. Tego dnia, zdaje mi się 13 sztuk łosi było widzianych.

Mój gospodarz był zropaczony tem niepowodzeniem. Ha! trudno — cóż robić? — pracowałem rzetelnie, ale szczęścia nie było. — Tak nadeszła niedziela, 5-go października.

Nie rycerska to rzecz w niedzielę polować. Tak coś niemcem pachnie, a „*Sonntagsjäger*“ to nie chlubny przydomek! Mimo to, po południu wymknęliśmy się z domu dla dowiedzenia się, co leśni widzieli. Jeden, drugi, trzeci — nic! nareszcie Burczak melduje, że widział rano łosia, ale pasemek porachować nie mógł. Spróbujmy — a nuż się uda! Biorę więc Burczaka i po półgodzinnej wędrówce przez lasy, stajemy nad obszerną niziną, zarosłą łozami i rzadkiemi drzewami. Burczak pokazuje, gdzie łosia widział, skąd wyszedł, w jakim kierunku szedł, gdzie go się spodziewa.

Postanawiamy iść brzegiem, aby okrążyć polanę.

Co kilkadziesiąt kroków wysyłam Burczaka na kraj lasu, aby badał łozy i trzciny. Wtem pierwszy spostrzegam, w odległości 200 kroków jakąś ciemną masę i pokazuję Burczakowi. „Albo kłoda, albo łoś“ mówi. Podchodzimy więc z tysiącznemi ostrożnościami, krok za krokiem, aby gałąź nie pękła, aby błoto nie chlapnęło. Rozpoznaję nareszcie, że łoś, ale nie wiem czy klempa, czy rogacz. Jeszcze naprzód kilka kroków. Do mnie bokiem zwrócona sztuka, leży z brzegu lasu, na małej polance. Drągowina i promienie zachodzącego słońca nie pozwalają mi jej rozeznać.

Jestem oddalony na 80 kroków. Burczakowi daję znak, aby się położył; sam ważąc każdy krok, posuwam się bliżej. Już widzę dokładnie łeb, kiwającą się brodę pod gardłem, ruszające się szczęki, ale drzewo tak mi zasłania nasadę głowy, że rogów ani rusz dojrzeć, tylko słuchy kiwają się to w tę, to w ową stronę. W końcu i rogi rozpoznaję, ale pasemek porachować nie mogę. Jestem zdecydowany na strzał, ale nie do leżącego, toby była zbrodnia! Nakazuję nerwom spokój i czekam, póki słońce nie zajdzie i zwierz nie wstanie.

Obrachowując strzał, liczę drzewa mogące mi przeszkodzić i nie mogę się oprzeć pokusie posunięcia się o dwa kroki w bok. Stawiam nogę prawą, wtem — trzask! patyk niewidzialny w błocie pękł pod naciskiem. Łoś zwraca głowę w tę stronę, patrzy i słucha, ale zmieniłem się w słup soli Lota, oparty na jednej nodze stoję nieruchomo. Tak mija może 5 minut, — dla mnie to wieki. Zwierz uspokojony głowę odwraca i przeżuwa dalej. Schylam głowę, aby widzieć, gdzie lewą nogę postawić, podnoszę i widzę łosia nie tylko już stojącego, ale zwróconego ku mnie.

Wspaniały widok! Oczy w ostatnich promieniach słońca żarzą się, jak dwa węgle, rogi małe, na trzy pasemka. O pochyłą brzozę zaczyna je czesać — brzoza pod naciskiem trzeszczy. Wtem, — krótkie chrząknięcie — i byk w mgnieniu oka zwraca się w stronę łozów. Strzelam w czasie obrotu, zakołysał się, ale idzie wolno, widzę, że ciężko ranny. Robię krok naprzód, strzelam, ale zapadając się w błocie zerwałem i kula poszła światami. Zmieniam naboje i tonąc w bagnie, posyłam trzecią kulę, mierząc w łopatkę. Padł w ogniu!

Z resztą energii wydobywam się z błota, ale nerwy moje, wyczerpane zbytniem naprężeniem zawodzą i mam nieprzepartą ochotę paść na ziemię, aby odpocząć. Wstyd mi jednak Burczaka, który już nadbiegł, kładę więc tylko sztuciec i idę do mej ofiary. Rozkosz nie do opisania czuję w sercu, porównać ją tylko można ze słodkiem uściskiem kochanki!

Biorę trąbkę Burczaka i „hallali“, dźwięczy przez bory i strugi, wołając towarzysza i leśnych. Wkrótce też nadbiegają, a nadleśny Osiej podaje mi gałązkę świerkową, którą jako drogą pamiątkę, za kapelusz zatykam.

Pożegnawszy serdecznie służbę leśną, która przez ten tydzień tak niezmordowanie wypatrywała dla mnie łosi, wróciliśmy do domu, tym razem z tryumfem, ku ogólnej radości.

Nazajutrz rozmierzyłem łosia. Ważył 30 pudów t. j. koło sześć mc., Długość od słuchów do ogona 6 stóp

4 cale, czyli 2 m. Wysokość 5 stóp 3 cale, czyli 166 cm. Głębokości 3 stopy, czyli 95 cm. Z tych rozmiarów można sobie przedstawić ogrom zwierza.

Słówko jeszcze wspomnę o ogólnym zwierzostanie. Naturalnie łoś trzyma prym i cieszy się specyalną opieką właścicieli. W Mołodowie jest mniej więcej 30 do 40 sztuk. Nie brak go i w sąsiedztwie, bo same Skirmunttowskie lasy Mołodów otaczają. Dzików dużo, sądząc po licznych ryjowiskach. I wilk się trafia; nawet za mej bytności leśny Korzeniecki strzelał do dwóch wilków i zranił jednego. Sarn jest nie dużo. Drobnej zwierzyny mało. Trafiają się bielaki, ale rzadko. Za to piękny tok na wiosnę głuszców i cietrzewi. Głuszców szczególnie w Porzeczu. Tam także są i bobry, ale bobry cywilizowane, zamieszkujące prawie w ogrodzie brzegi Jasiołdy. Domków nie budują, tylko kryją się w podwodnych norach, tuż obok fabryki sukna. Często je widzieć można, bo są strzeżone, jak oko w głowie, przez p. A Skirmuntta.

Niestety wszystko ma swój koniec, a więc i te miłe dni w Mołodowie spędzone, których uroku pełną piersią używałem. Na drugi dzień żegnałem Mołodów i jego mieszkańców, dziękując im za tę szczerą i ujmującą gościnność. Żegnałem — ale na nie zawsze! to „do widzenia“ tylko! Na rok przyszły, jak Bóg i św. Hubert pozwoli, znowu ze sztućcem w ręku te knieje przebiegać będziemy.

Torskie, 30. października 1902.

Władysław Rostworowski.

Po rykowisku.

Kto choćby raz jeden polował na jelenie w Karpatach na rykowisku, a w myśliwskiej swej duszy odczuł potężny czar tych łowów, temu już przez całe życie wrzesień szeptać będzie słowa tęsknoty. I jak ptak ciągowy, którego zaklęta moc pędzi w nieznane krainy, ogarnięty niepokojem, wyciąga swe skrzydła i tęskne oko zwraca ku południowi, tak i myśl łowca, z podmuchem jesieni, biegnie ku tym szczytom, gdzie gromki poryk wzywa zapaśników w szranki turnieju, którego nagrodą, pieśń miłości, tej miłości żywiołowej, pierwotnej, gdzie wybranka wyborem swym zwycięzcę darzy.

Minął wrzesień, październik do kresu dobiega, wraz z nimi do przeszłości już należą — tegoroczne łowy na rykowisku; pozostawiły one i mnie wiązankę wrażeń i wspomnień, a temi pragnę się z czytelnikami „*Łowca*“ podzielić.

17-go września wieczorem byłem już na podchodnem w kniei naszego podgórza, gdzie przed laty ośmiu nikt o jeleniach nie marzył. Dziś stan jest już piękny, zwłaszcza młodzieży, stary jeleń bowiem niechętnie się jeszcze zatrzymuje, jakby nie chciał przyznawać prawa obywatelstwa obszarom tym, które do niedawna nie były jego rodu pieleszą. Przed dwoma laty padł tu pierwszy jeleń na rykowisku, tem bardziej zatem pragnąłem rezultatu dodatniego naszych łowów.

Na drugi dzień zaraz, to jest, 18-go września, około 4-ej popołudniu strzeliłem dziesiątaka, słabo porykującego, na zrębie, ciągnącym się wzdłuż stoku góry. Nie mogąc go bliżej podejść, strzelać musiałem przez lunetę z mego małokalibrowego sztućca na odległość przeszło 200 kroków. Jeleń, dostawszy kulę tuż koło komory, padł po stu krokach, zrobionych w pełnym galopie. Zaznaczyć na tem miejscu muszę, że niechętnie na znaczną odległość do jeleni strzelam, używając lunety tylko w tym wypadku, gdy niemożliwem mi jest bliższe podejście. To też na 24 jeleni, które dotąd zabiłem, dwa tylko przez lunetę strzelałem. Staram się zawsze jelenia na wygodny strzał podejść, a im bliżej się tego szlachetnego, a tak czujnego zwierza znajduję, tem więcej potęguje się i emocya, w świadomości, że każdy ruch, każde nieprzezorne stąpienie, każde potrącenie gałęzi lub kamyczka pod stopą, spłoszy jelenia, strzał uniemożliwiając. W pokonaniu zaś tych trudności widzę i największą rozkosz i zasługę myśliwego, który musi rozwinąć cały zasób przebiegłości, wiadomości swych i znajomości zwierza, na jaki go stać tylko

Słusznem jednak znajduje, że myśliwy, musi jelenia na bardzo znaczną strzelać odległość tam, gdzie trudności terenu — a w górach to się bardzo często zdarzać może — są tego rodzaju, że nie jestw stanie bliżej go podejść. W trudnych bowiem nawet warunkach zaniedbana sposobność do strzału, może już nie powrócić — a że w tych okolicznościach myśliwy używa lunety lub strzelając z podparciem stara sobie dokładny strzał zapewnić, to spełnia tylko obowiązek swój myśliwski, który mu nakazuje zredukować do minimum niebezpieczeństwo złego strzelania jelenia.

A już najzupełniej na zarzut nie zasługuje ten, kto wyzyskując pewność swego oka i dokładność broni, zabija, a nie postrzeliwuje, jelenia na odległość, na którą innemu ani śni się strzelać.

Tego samego wieczora około 6-tej godziny zabiegłem drogę porykującemu dobrze jeleniowi, zdążającemu ku zrębom. Strzeliłem go na 45 kroków, na wygodnej linii, dwunastak dostawszy kulę w komorę, padł w miejscu. Wysokość rogów 87 cm., rozpiętość 74 cm.

19-go i 20-go września prześladował nas silny wicher, przeplatany deszczem. W tych warunkach, gdy się poryku nie słyszy, podchodzenie staje się loteryą, a w tych dwóch dniach los nie padł w mą stronę. 20-go wieczorem podszedłem wprawdzie grubego jelenia na czystym zrębie, gdzie się pasł z drugim słabszym towarzyszem, a chociaż nie był dalej odemnie niż kroków 130, jednak z powodu zmroku nie strzeliłem. 21-go pierwszy przymrozek, a raczej mróz, który ściął błoto i wodę pokrył stałą skorupą. Jelenie dobrze ryczały w nocy, lecz z brzaskiem ucichły. 22-go to ostatni ranek, który tu miałem do dyspozycyi; w nocy jeszcze dostałem się na szczyt góry, mając w plecach podniosły

las bukowy, a przed sobą zrąb, który się rozsiadł na całym stoku góry. Dotarłem na szczyt, by stwierdzić, że dwa jelenie, które od chwili słyszałem, ryczą nie na górze, na której się znajduję, lecz na zrębach góry przeciwległej. Z ostatnich chwil nocy korzystając, szybkim krokiem, dość wygodną ścieżką, zbiegam ku dołowi. Po drodze płoszę inne jelenie, a uderzenie rogiem o drzewo zdradza i tu bytność rogala. Dostałem się wreszcie dość wcześnie jeszcze do zrębu, w którym już słabiej porykują dwa jelenie. Purpurą wschód już zalany i przy tem świetle widzę, prawie na szczycie góry, stojącego, jak ze spiżu wykutego jelenia. Chwilę go przez szkła obserwuję i uderza mnie dziwna formacya rogów, jeleń tymczasem się zwraca i schodząc wolno z góry, ku mnie się posuwa. We środku mniej więcej góry, siodełko, jeżeli jeleń kierunku nie zmieni, powinniśmy się tam spotkać. Zmarzłymi zatem maliniakami, które mnie doskonale kryją, ścieżkami, przez jelenie wydeptanemi, zaczynam się ku jeleniowi podsuwać, z początku szybko, potem w miarę zbliżania się do siodełka coraz ostrożniej. Wtem na kroków 40 zaledwie, w promieniach, wschodzącego słońca, błysnęły mi białe końce rogów. Nad malinami pół tylko rogów widzę, za chwilkę znikają, a ruch wśród gąszczu na lewo zdradza jelenia, że tamtędy odchodzi. Nie mogę już mu drogi zabiegać, bo każdy ruch szybszy wśród krzaków, okrytych zmarzłymi liśćmi, musi jelenia spłoszyć, chwila przykrej niepewności, co dalej robić, bo może on znowu stanął i słucha. Spostrzegam wreszcie o kilka kroków odemnie, zakryty wysoki pień, pozostałość dawnego tych lasów olbrzyma, wdrapuję się nań ostrożnie i cały zrąb, całą górę, wzrokiem ogarniam. Lecz jelenia ani śladu, nerwowo rozglądam się na wszystkie strony i wreszcie dostrzegam go, już na zrębie, na drugiej górze. Odległość, w linii powietrznej, około 300 kroków, lunety z sobą nie wziąłem, by mi w maliniakach nie zawadzała, a jeleń tymczasem się oddala. Wraz z decyzyą, że za jeleniem strzelać nie będę, zwraca mi się on na połeć, korzystam z tej chwili i strzelam. Jeleń naznaczył, zmienia kierunek, więc dostał dobrą kulę i zrębem stępo, równolegle do mnie, zaczyna się oddalać. Strzelam za nim po raz drugi, trzeci, czwarty, piąty i szósty. W ostatnim strzale ruluje. Pierwszą kulę dostał obok komory, z następnych dwie w miękkie za nim, ostatnią po której rulował, w kark. Kapitalny ten jeleń mylkus, wstecznik (zurückgesetzter), miał tylko jeden hak i zupełnie zjedzone zęby. Rogi w formie O, górą na 23 cm. tylko otwartego, całe rogi nadzwyczaj bogato operlone, perły zaś na prążkach, prześlicznie cyzelowanych, aż w różę wkrojonych. Rogi zupełnie zwrócone naprzód, tworzą z kością czołową kąt ostry. Grubość róży 23 cm., grubość pnia 16 cm. Wysokość powietrzna 79 cm. po pniu 100 cm. Rozpiętość końców 23 cm., rozpiętość we środku rogów 62 cm. Róg prawy posiada gałąź oczną, nadoczną i środkową, lewy tylko oczną i środkową, a z róży zewnątrz rogu ku przodowi, wyrasta odnoga 13 cm. długa, a $9^1/_2$ cm. gruba.

W południe opuszczaliśmy nasze schronisko, dążąc do pociągu, a jedyny cień, który mi przyciemniał tych dni kilka tu spędzonych, spowodowanym był tem, że towarzysz mój, równie wytrawny myśliwy, jak najmilszy towarzysz, nie miał w tych kilku dniach spotkania. W tydzień potem, 29-go września, znowu podążyłem na dni dziesięć w góry. Raporta odebrane na wstępie zgodne w tem, że jelenie w tym roku bardzo źle ryczą. Pierwszy mój poranek 30-go września nie zdawał się potwierdzać tego spostrzeżenia, miałem bowiem na zrębie doskonale ryczące cztery jelenie. Wybrawszy po głosie tego, który mi się wydawał najgrubszym, podszedłem go na kroków 60 może, kilka razy rogi widziałem, stwierdzając, że to potężny czternastak, do strzału jednak nie przyszedłem z powodu kępy jodełek, która mi jelenia kryła, a z której jeleń skorzystał, by pieśń swą urwawszy, niepostrzeżenie się oddalić. Po południu zaczął padać deszczyk, który niestety miał mi być już wiernym na dni dziesięć towarzyszem. 1-go października wychodziłem ze schroniska, otulony kłębami mgły tak gęstej, uporczywej, że świt jej zwyciężyć nie potrafił. Wracając z podchodu rannego usłyszałem ryk w podniosłym jodłowym lesie. Zawabiłem dwukrotnie i jeleń rozryczał się na dobre, nie dalej, jak na kroków 500 od drogi, którą powracałem. Podszedłem go z łatwością, a stwierdziwszy, że to gruby jeleń w towarzystwie dwóch łań strzeliłem go, w luce przechodzącego, na kroków 150. Jeleń dał znak, a za uchodzącym puściłem drugą kulę — po kilku skokach jeleń padł. Pierwszą kulę miał nieco wysoko w komorze, drugą w miękkiem za nim. Jeleń ten dziesiątak, wstecznik, o zjedzonych przednich zębach. Rogi bardzo regularne, nadoczne o 3 cm. dłuższe od ocznych. Grubość róży 24 cm., pnia 15 cm. Wysokość powietrzna 98 cm., po pniu 108 cm. Rozpiętość końców 60 cm., rozpiętość we środku rogów 77 cm. Łopaty 11 cm. szerokie. Po południu dnia tego i dnia następnego z grubszym jeleniem spotkania nie miałem.

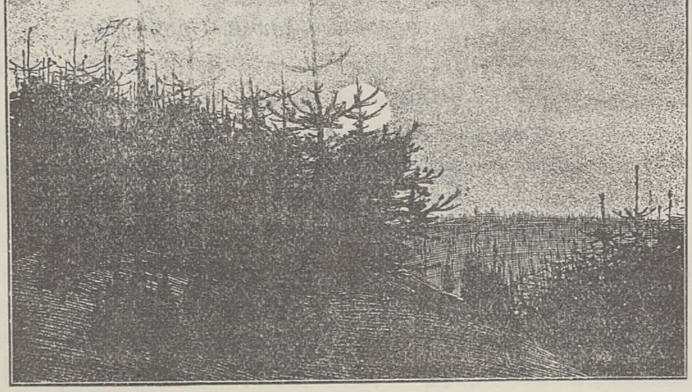
4-go października podchodziłem słabo porykującego jelenia w niesłychanie trudnych warunkach, gdzie z każdym krokiem, naprzód zrobionym, liczyć się długo musiałem. Zacząłem go podchodzić zaraz po 7-ej rano, strzeliłem go zaś o trzy kwandranse na 11-tą, podszedłszy go leżącego i drzemiącego, na kroków 49. Strzeliłem go w kark, jeleń pomknął i o 200 kroków od strzału, zastałem go już martwego. Silny to nieregularny dwunastak, posiadający wyjątkowo długie, bo 42 cm. mierzące odnogi oczne, bardzo zakrzywione. Zresztą rogi pięknie rozwinięte.

5-go rano na czystym zrębie porykiwał jeleń, silny dwunastak w towarzystwie łani, podsunąłem się na kolanach na około 200 kroków pod niego. Nie strzeliłem jednak, gdyż ręka tak mi drgała z powodu trudnego a forsownie długiego podchodzenia, że na strzał pewny liczyć nie mogłem. 6-go ulewny deszcz z burzą, po południu nawet ze schroniska nie wychodziłem. 7-go rano strzeliłem na zrębie regularnego dziesiątaka na 165 kroków, jeleń z kulą w komorze padł na miejscu.

8-go rano podchodziłem w całkiem innej niż dotąd części rewiru, gdzie od dwóch dni pojawił się bardzo gruby jeleń, asystujący pojedynczej łani. Z powodu deszczu nie ryczał tego ranka, widziałem go tylko na odległość przeszło 500 kroków, przechodzącego przez drogę. Po południu wybrałem się, bliżej schroniska, na jelenia, który od dni kilku dość regularnie, już koło piątej, na zrąb wychodził. I rzeczywiście przed piątą już wyszedł na linię o przeszło 400 kroków odemnie. Rozglądnąwszy się zaczął majestatycznie ku mnie się posuwać. Przypuściłem go na kroków 140 i w chwili, gdy z linii

w gruby las chciał wskoczyć strzeliłem. O 60 kroków, od strzału leżał ten czternastak z kulą w komorze. Rogi regularne, ciemne, jak przydymione, wysokość po pniu 94 cm., rozpiętość końców 28 cm., rozpiętość we środku 52 cm. Grubość pnia 15½ cm.

9-go, ostatni mój tu ranek, pragnąłem poświęcić grubemu jeleniowi, który mi wczoraj, nie na strzał, drogę przeszedł. Ryczał na stoku góry, na małym zrąbku, obok podniosłego bukowego lasu. Tą buczyną starałem się dostać do zrąbku. Las cały zdawał się powtarzać groźne, gniewne poryki. Już w pobliżu zrębu zaczęły mi rzednąć drzewa, gdy widzę o paręset kroków odemnie w podniosłym lesie stojące stado, składające się z trzech łań i dwóch cieląt. Za niemi kroczy majestatycznie wspaniały jeleń. Wtem się odwrócił i puścił się pędem w przeciwną stronę. Stamtąd rywal podkrada się do haremu, odskoczył pośpiesznie, unikając razów potężnego wieńca. Ja tymczasem podsuwam się na jakie 140 kroków do pola walki. Rywali dwóch, ale pokornych, nie odpowiada na ciągły, groźny ryk sułtana i starannie unika spotkania. Jeden z nich, uciekając wpada mi na 60 kroków, poznaję, że to czternastak, drugi wspaniały dwunastak o szerokiej łopacie, tego jednak, który tyle trwogi na około siebie sieje, dokładnie widzieć nie mogę. Stanął za bukiem, wprost do mnie zwrócony, i ciągle ryczy. Łanie tymczasem wolnym krokiem oddaliły się od miejsca walki. Jeleń główny, to spostrzegłszy, pełnym galopem za niemi podąża, a chociaż nie jest odemnie dalej, jak na kroków 140, nie strzelam, bojąc się, aby kula w drzewie jakiem się nie zgubiła. Za uchodzącem ku szczytowi góry stadem podążają też dwaj rywale. Dopadam linii, prowadzącej wprost na szczyt góry; tych paręset kroków przebywszy, słyszę poryk, już znacznie dalej, na drugim stoku góry. Zaczyna się szalony pościg, zbiegam z góry, pnę się pod drugą, trzymając się ciągle linii, wtem widzę pod szczytem przechodzi przez linię jeleń, a za nim goni drugi, cel mego pościgu. Rzucam się w las, by poprzecznym płajem skrócić sobie odległość, jestem już tuż, tuż przy jeleniach. Wtem wśród rzadkich drzew, na szczycie góry rosnących, widzę jelenia. Wziął drzewo między rogi, a raciami pod sobą kopie, odpędził rywala, a teraz swą wściekłość na drzewie wywrzeć pragnie. Opuszczam płaj i biegnę wprost na zwierza. Na chwilę szczyt góry mi go kryje, kilkadziesiąt kroków i jestem też na szczycie. Na 40 kroków jeleń wciąż drzewem szamocze, potężny wieniec rękojmią mi, że to ten sam jeleń. Huk strzału i jeleń z kulą w komorze zrobił skok i stanął, strzelam po raz drugi w komorę i jeleń pada. Wspaniały to nieregularny szesnastak. Lewy róg o podwójnej koronie, jedna łopata 14 cm. szeroka, druga nad nią 12 cm. szerokości. Prawy róg we środku skręcony. Grubość róży 25 cm., grubość pnia 17 cm., wysokość powietrzna 92 cm., po pniu 108 cm. Rozpiętość końców wewnątrz 64 cm., zewnątrz 92 cm., we środku 84 cm.



Odwrócona karta historyi tegorocznych łowów na króla Karpat, rok cały czekać trzeba, zanim pieśń nad pieśniami odbije się o szczyty, budząc szereg silnych a zdrowych emocyi, aż i te znowu utoną we wspomnień skarbnicy.

Rychcice, w październiku 1902.

J. Al. Bielski.



Sprawozdania delegatów.

Wysuczka, 2. listopada 1902.

Boję się nużyć szanownych czytelników „*Łowca*“ ciągłemi sprawozdaniami z powiatu tutejszego i tylko myśl, że sprawozdania te mogą być podwaliną do silnej organizacyi naszego towarzystwa, dodaje mi odwagi i przypomina zasadę „*gutta cavat lapidem*“ — (kropla wydrąża kamień). Łączność członków galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego, zamieszkałych w powiecie borszczowskim coraz więcej się zacieśnia i każdy znalazłszy w niedzielę chwilę czasu, po obiedzie spieszy na górę Wysucką, do strzelnicy stale urządzonej, aby się ćwiczyć w strzelanin do tarcz stałych, ruchomych i do kul szklanych.

Nie da się zaprzeczyć, że strzelanie takie jest wielkiem ćwiczeniem dla myśliwego, a zjazdy także są bodźcem do wyrabiania się na dzielnego myśliwego i strzelca.

Gdy galicyjskie Towarzystwo łowieckie przed kilku laty zainicyowało takie zjazdy i strzelanie premiowe we Lwowie, nie wielu z początku brało udział, powoli oswajano się z tą myślą i z każdym rokiem przybywało adherentów. Mimo wielu niedogodności we Lwowie pod względem strzelnicy, bo to i daleko i kryta weranda, pod którą z huku strzelających głowa boli, mimo że nie jest to własna strzelnica, lecz że o gościnność co roku prosić potrzeba, z roku na rok ruch pod tym względem coraz większy daje się spostrzegać i jest nadzieja, że gdy się prowincyonalni myśliwi wyrobią na swoich strzelnicach powiatowych, będą mogli śmiało konkurować o wielkie nagrody galicyjskiego Towarzystwa łowieckiego i z towarzyszami Pieńczykowskim, Hamerskim, Knappem, Mostowskim, Klusikiem i tylu innymi znakomitymi strzelcami.

Urządzenie strzelnicy takiej na powiecie nie przedstawia ani kosztów, ani trudności, a do wiadomości szanownych Delegatów podam, jak to urządzić.

Strzelnica nasza na Wysuczce, o wiele przyjemniejszą jest niż we Lwowie, bo na wolnem powietrzu i wolna od huku strzałowego. Cały sekret jest usypanie wału, 14 metrów długiego i 2 metry wysokiego. Wał ten jest do zatrzymywania kul; przed wałem kopie się rów na głębokość półtora metra; w tym razie na 30 cm. od wierzchu układa się brus dębowy, a na nich przybite są dwie walcówki żelazne jako szyny, po których na kółkach przesuwa się dzika albo lisa, i to z szybkością, jaka potrzebna jest do strzału i to jest cała strzelnica. P. Dzikowski dostarcza kartonowego dzika i lisa, osadza się je na czterech kółkach i dwóch ludzi, jeden z jednej, drugi z drugiej strony, całkiem lekko za sznurek ciągnąc, wpuszczają w ruch tarczę. Rów cały jest długości 12 metrów. Byłaby to przestrzeń za daleka i nie trudnoby trafić, a więc z jednej i z drugiej strony (końca) rowu sypie się niewielkie wały i obsadza się zielenią, aby robiło wrażenie, że zwierzyna wychodzi z gąszczu i biegnie w gąszcz. Cała przestrzeń, którą zwierzyna do strzału przebiega, wynosi 5 metrow, a zatem wały po końcach rowu mają 3 i pół metrów. W rowie tym przed wałem ustawia się na łatach tarcze stałe, które do deszczułek przypina się pluskwami, a po polsku powiedziawszy „spannäglami“.

Tym sposobem mielibyśmy już trzy tarcze, t. j. stałą i dwie ruchome, przybywa jeszcze strzelanie do kul szklanych — maszynę i kul dostarcza firma Alfred Dzikowski, we Lwowie.

Urządziwszy tak strzelnicę, co niedziela zjeżdżają się towarzysze i płacąc za strzały i kule zbite, pomnażają fundusz strzelnicy, z którego (gdy się wzmoże) będą kupowane nagrody przy premiowem strzelaniu we Lwowie, na zjazdach łowieckich.

U nas, na dniu 26-go października odbyło się drugie premiowe strzelanie, na którem 15 nagród rozdano między celnych strzelców i tak:

I. Do biegnącego dzika.

1-szą nagrodę Prezesa komitetu (słonka z bronzu na postumencie kryształowym), wziął towarzysz Eustachiewicz.

2-gą nagrodę towarzysza Dębickiego (bardzo piękny garnitur do pisania z onyxu), wziął towarzysz Łobodzki.

3-cią nagrodę Prezesa komitetu (obraz Sozańskiego, nagonka pijąca wódkę), wziął towarzysz Janowski.

4-tą nagrodę członka komitetu Kochanowicza (kasetka safianowa na cygara z przyborami), wziął towarzysz A. Gottwald.

II. Do biegnącego lisa.

1-szą nagrodę członka komitetu Maurycego Feldschuha (jamnik z terrakoty), wziął towarzysz Huczko.

2-gą nagrodę, (rogi jelenia) dar Prezesa komitetu, wziął towarzysz A. Gottwald.

3-cią nagrodę, dar towarzysza Gottwalda (siatka na ptaki), wziął towarzysz Janowski.

4-tą nagrodę dar członka komitetu Szymkajły (pugilares wenecki), wziął towarzysz Wasyłeńko.

III. Do tarcz stałych.

1-szą nagrodę, dar członka komitetu Witosławskiego obraz bitwy racławickiej), wziął towarzysz Wasyłeńko.

2-gą nagrodę, dar Cyryla Czarkowskiego-Golejewskiego (wieszadło z rogów jelenich), wziął towarzysz Gottwald.

3-cią nagrodę, dar towarzysza Gottwalda (dwie podstawki do rogów), wziął towarzysz Eustachiewicz.

IV. Do kul szklanych.

1-szą nagrodę (jelenie rogi), dar Prezesa komitetu, wziął towarzysz Wasyłeńko.

2-gą nagrodę (rogi oprawne kozła) dar towarzysza Eustachiewicza, wziął towarzysz Huczko.

3-cią nagrodę, dar członka komitetu Welenowskiego (rogi sarnie), wziął towarzysz Cyryl Czarkowski-Golejewski.

4-tą nagrodę dar towarzysza Cyryla Czarkowskiego-Golejewskiego (nóż myśliwski do rozcinania kartek), wziął towarzysz A. Gottwald.

Na tem ukończyliśmy tegoroczne premiowe strzelania, mówiąc sobie nawzajem do widzenia z wiosną, jak tylko słońce zaświeci, a poleciwszy się opiece św, Huberta, rozjechała się drużyna do domu, unosząc miłe wspomnienia, mile spędzonych chwil na strzelnicy. Mimo sprzyjających warunków tego roku dla słonki, nie wiele ich było w naszej okolicy, jeszcze gdzieniegdzie spotyka się po jednej. W dniu 31-go października zabiliśmy 4 sztuki w lesie wołkowieckim. Przy tej sposobności zrobiłem doświadczenie, że lisa u nas zupełnie wytępić absolutnie nie można; prześladowałem jamnikami, chartami, zasiadkami i byłem pewny, że oprócz dwóch lisów w rewirach włóczących się, których jednak zejść nie można, więcej lisa na lekarstwo nie znajdzie, a tu przy słonkach, w każdym miocie jak nie dwa, to trzy, cztery lisy i tych 12 padło; widocznie sąsiedzi dbają o to, aby ten szlachetny ród szkodnika nie wygasł, bo to widoczne, że przychodzą z sąsiedztwa.

Zajęcy w tym roku dosyć widać po polach, moi synowie po lekcyach, co dzień po południu jadą na koniach i charty biorą ze sobą i dotąd na niewielkim obszarze, na którym pozwoliłem z chartami jeździć, wzięli 23 zajęcy.

Polowania jeszcze się nie rozpoczęły w naszej okolicy, wszystko zajęte kopaniem kartofli i o nagonkę trudno. Już jak polowania się rozpoczną, będzie o czem i pisać.

Czarkowski-Golejewski.

Korespondencye.

Turówka, 10. listopada 1902.

Maleńka kniejka, — śliczny stan zwierzyny, — wzorowy porządek, — punktualność wojskowa, — żadnej fatygi, — dużo strzelania, — serdeczna, a pełna swobody gościnność, — narescie żal, że już się skończyło, — to polowanie w Toustoługu, — na którem 8-go b. m. w sześć strzelb, zabiliśmy w tym miłym gaiku, 6 rogaczy, 11 lisów i 37 zajęcy.

Szkoda tylko, że kochany gospodarz nie ma jeszcze kilku takich kniejek. Niech nie wątpi, że z gotowością pospieszylibyśmy do każdej na głos jego trąbki, a myślę, że i lisom u takiego porządnego pana, miło żyć i leżeć na rozkładzie. Wprawdzie trzy lisy od tej ostatniej przyjemności się wykpiły. Pewnie, że późno wiadomość o terminie polowania ich doszła i nie miały jeszcze wizowanych paszportów. Ale, niechno ponowa spadnie, nastawią i one futro na strzał p. Zygmunta.

Bronisław Rozwadowski.

Batiatycze, 4. listopada 1902.

Przepowiednie złowróżbnych astrologów, o śniegach i mrozach pod koniec października, jakoś szczęśliwie nas ominęły. Kartofelki wykopawszy zatem i o myślistwie się pomyślało, a że i pogoda dopisała, spróbowaliśmy zapolować z chartami w 12-cie koni. Polowanie to w tych stronach nieznane, gdyż nikt psów nie ma — ja przez grzeczność sąsiada z Podola dostałem parę, a sąsiadując i kolegując — ze stacyonowanym w Kamionce Strumiłowej 7-ym pułkiem ułanów, czasem urządzamy — galopka za szarakiem. I to polowanie ma swój urok, jak się jest dobrym jeźdźcem — szarak, choć niby głupi, ale ratując życie wpada na różne pomysły, czego dowodem dzisiejsze polowanie. Zając, poszczuty na ścierni, hecowany, po może dwukilometrowym galopie schował się, po kilkunastu obrotach, w krzak cierniowy — charty biegały naokół, tak, że zsiedliśmy z koni, by rajtpajczami wypędzić go na pole, gdzie, bohatersko, po kilku kominkach, poległ. Poszczuty drugi, zrobiwszy galopa niemniej porządnego, jednym susem był w pryźmie ułożonych kamieni, po rozebraniu jednej, w okamgnieniu był w drugiej — w końcu żywcem wyciągnięty — i wyniesiony na czyste pole, o mało z nas nie zakpił — bo tylko dzielności jeźdźców przypisać sobie śmierć może — chartom byłby drapnął do lasu. A stary gracz, bo zupełnie prawie biały. Mówią charciarze, że zające na Podolu to gracze i szybko biegają — chyba tu naszym, nic zarzucić nie można. Piszę może pod wrażeniem wspomnień jako podolak — po kilkunastu latach znów zapolowało się — i zdaje mi się, żem odżył — bo gdy miłe towarzystwo, koń dzielny — to ten szarak, charty — galop — wszystko razem jakoś dziwnie usposabia. Fantazya się budzi, a tej nam coraz więcej brakuje, choćby wziąć tylko, gdy wieczorem pocztę przyniosą, mowy Kosów, Barwińskich, Daszyńskich i Breitera, zieją jadem nienawiści, szczują braci na braci! Krew ścina się w żyłach. Przelot ptactwa trwa jeszcze; przed kilku dniami duży sznur gęsi przeleciał. Słonek bardzo mało, a dziś z pod koni porwało się stadko małych przepiórek, za myszami przyszły jastrzębie i mnóstwo ich jest w różnych gatunkach. Lecz słońce już krótko grzeje i świeci, zima za pasem — ponówka — dziki używają ostatnich chwil swobody, nim ekspresy przypomną im „*memento mori*".

Tadeusz Romanowski
delegat żółkiewski.

Kronika.

Połów ptaków we Włoszech. „*Patria*" zamieszcza w numerze z 3-go października br. następującą notatkę: „Z Mantui donoszą nam, że w dniu św. Michała w dolinie Reggiolo, niedaleko Mantui, kilku „myśliwych" za jednem nastawieniem sieci, złapało dziesięć tysięcy szpaków. Waga złapanego ptastwa wynosiła 10 centnarów". W ten zatem sposób giną miliony naszych najpożyteczniejszych ptaków. Nic dziwnego, że każdy krok, uczyniony w celu ochrony ptactwa przelotnego, z takiem w Europie witany jest zadowoleniem. Szpaki, jak wiadomo nadzwyczajnej potrawy nie stanowią — tem więc dziwniejszy ten mord masowy biednych wędrowników.

Rysie i wilki w Skandynawii. Ciekawym i tak ze stanowiska łowieckiego jako i zoograficznego interesującym jest fakt, że te dwa gatunki drapieżców, których liczba w ostatnich dziesiątkach lat uległa bardzo znacznemu zmniejszeniu, w ostatnich czasach coraz więcej się rozmnażają i nietylko dawne swoje rewiry zajmują, ale rozszerzają się także na okolice, których od niepamiętnych czasów już nie zamieszkiwały. Wilki, pędzone głodem wśród tęgiej zimy przebiegają duże obszary kraju, wyrządzając liczne szkody w bydle domowem. Rysiów pada corocznie około sto i to właśnie w tych okolicach, w których dawniej ich nie było. To przeniesienie się rysia tłumaczą skandynawscy myśliwi tem, że w latach 1870—1880, kiedy była moda noszenia jasnych futer rysich, myśliwi w Jämtlandzie, Angermanlandzie i w norrlandzkich latyfundyach tak gorliwie nastawali na życie rysiów, że uznały one za stosowne przenieść się do południowych okolic, a więc do Nord-Dalarne i Helsingland. Tutaj więcej znajduje się zwierzyny, wśród której rysie znaczne sprawiać poczęły szkody. Głuszce i cietrzewie, jarząbki zaczęły padać ofiarą drapieżnych gości w takiej liczbie że właściciele polowań rozpoczęli z nimi walkę na śmierć i życie. Według statystycznych, urzędowych dat, pada 1400—1800 renów ofiarą wilków — wilków zaś, za które rządowa nagroda wynosi 54 koron, pada zaledwie 70—90 sztuk rocznie.

DROBNE OGŁOSZENIA.

(po 1½ ct. od wyrazu).

DO SPRZEDANIA:
para psów gończych (Dachsbracke), suka w drugiem, pies w pierwszem polu. Bardzo dobre i wytrzymałe. Cena za parę 100 koron. Zgłoszenia N. N. Nawojowa.

DZICZYZNĘ kupuje w każdej ilości, handel pod „Palmą“, Jana Borysa, Przemyśl.

Zarząd dóbr Ossowce poszukuje puhacza zdatnego do polowania — poczta w miejscu.

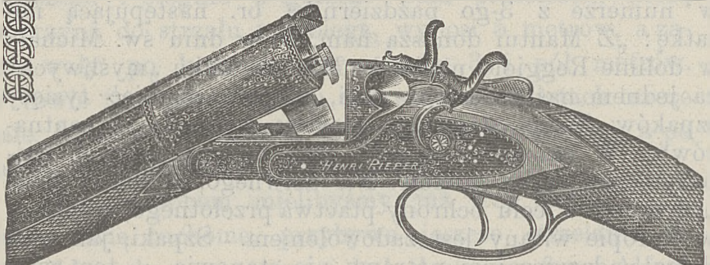
Kalendarz myśliwski leśny i rybacki na r. 1903, już opuścił prasy drukarskie. Zawiera obfity dział myśliwsko-leśniczy. — Do nabycia u p. A. Dzikowskiego, ul. Karola Ludwika l. 1.

LEŚNICZY z egzaminem państwowym, dobremi świadectwami, 13-toletnią praktyką, dobry myśliwy, poszukuje posady. Łaskawe zgłoszenia pod adresem: Łazarowicz, Wasłowce p. Kuczurnik Bukowina.

Alfred Dzikowski

c. i k. nadworny dostawca.

Lwów, ul. Karola Ludwika l. 1.



Główny magazyn i fabryka
broni myśliwskiej

odszczególniona na wystawach krajowych:
Dyplomem honorowym Wys. c. k. Ministerstwa handlu i 10-ma medalami zasługi,

poleca znakomitą

BROŃ MYŚLIWSKĄ

jako to

Lankastrówki z kurkami i bez kurków. Sztućce, Expresy, pojedyncze i podwójne. Trzylufki lankaster, iglicowe i hamerles. Iglicówki Teschnera. W. Collatha. Rewolwery, pistolety floberty i t. d.

Jedyny skład fabr. łusek nabojowych i patronów ostrych, niemniej

Przybory myśliwskie i łowieckie

po cenach najtańszych.

Skład win herbaty i rumu
PIOTRA MIKOLASCHA i Sp.

we Lwowie

poleca w najlepszych gatunkach

herbatę chińską i ceylońską

firmy C. Trau w Wiedniu

C. k. austr.

i ces. japońskiego nadwornego dostawcy

po cenach oryginalnych.

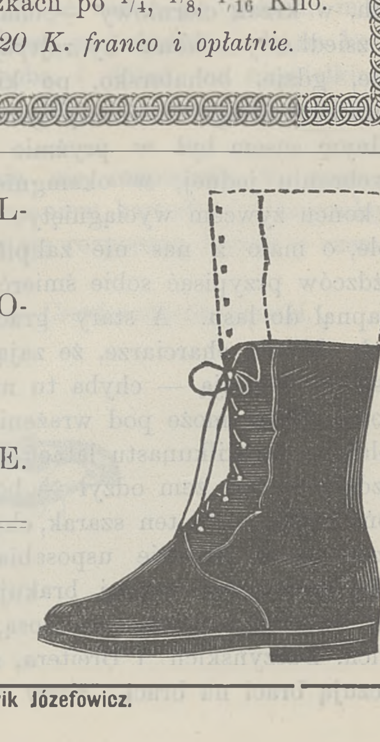
Herbata Congo Nr. 3	½ kilo	K. 3.—
„ Souchong Nr. 4	„ „	„ 3.—
„ Wysiewki Nr. 2	„ „	„ 2·50
„ „ Nr. 1	„ „	„ 3·50
„ Ningchow wysiewski	„ „	„ 4.—
Pecco Congo Nr. 1	„ „	„ 5.50
Herbata kwiatowa przednia	„ „	„ 6.—
Sansinsky Nr. 1	„ „	„ 7.50
Herbata Melange czarna wybrana dla **Kasyna Narodowego**	„ „	„ 9.50
Herbata Moning Nr. 1 najprzedniejsza z nowego zbioru	„ „	„ 9.50

do nabycia w paczkach po ¼, ⅛, 1/16 Kilo.

Zamówienia od 20 K. franco i opłatnie.



KAPELUSZE, CZAPKI, FILCOWE i ŁODENOWE.
BUTY i BERLACZE DO POLOWANIA.
KALOSZE PETERSBURGSKIE.



POLECA

Kazimierz Bielczyk

LWÓW, Halicka l. 21. Cennik ilustrowany na żądanie franco.

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**